

Joanna Mordak

Strategia mitosna



Joanna Mordak

Strategia *mitosna*



Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Marta Stochmiątek

Korekta: Anna Burger

Projekt okładki: Agata Łuksza

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by Joanna Mordak

Copyright © 2025, Papierowe Serca an imprint of Wydawnictwo Kobiecte

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-801-9

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



ROZDZIAŁ 1



CONNOR

Doceniać to, co oczywiste

Chciałbym móc powiedzieć, że jestem szczęśliwym człowiekiem.

Z pozoru mam wszystko, o czym mógłbym marzyć – dobre, rozpoznawalne nazwisko, wypracowaną pozycję i znajomości oraz nierealnie idealne życie, o którym z największą zaciętością dyskutują zupełnie obcy ludzie. A mimo to odnoszę wrażenie, że najważniejsze rzeczy wciąż są dla mnie niedostępne. Gonię za nimi, próbując w końcu je złapać i zatrzymać na dłużej niż marnych kilka chwil, ale wciąż bez powodzenia.

Niepostrzeżenie wymykają mi się z rąk, tak jak teraz, gdy mój były najlepszy przyjaciel prócz narzeczonej próbuje odebrać mi również klienta. Ze zrozumiałych powodów daleko mi więc do choćby namiastki szczęścia. Jestem wściekły i rozczarowany. A czego jak czego, ale tych emocji mam w życiu w nadmiarze.

Przemierzam szybkim krokiem korytarz, nawet nie odwracając głowy, by sprawdzić, czy Emmett podąża za mną. Z nim, jako jedynym, utrzymuję kontakt z naszej studenckiej paczki i przez

dwanaście lat przyjaźni wypracował już odpowiednie tempo, bym nie musiał się o to martwić.

Ignoruję Averie, młodą blondynkę zasiadającą za biurkiem głównej asystentki, i kieruję się prosto do swojego gabinetu. Wystarczy jej tylko jedno spojrzenie, by zorientować się w sytuacji i natychmiast spuścić wzrok. Nikt nie chce stać się ofiarą mojego rychłego wybuchu, a ja nie mam najmniejszej ochoty wyżywać się na Bogu ducha winnych pracownikach. Znam znacznie lepsze sposoby na to, by odreagować fatalny dzień w pracy.

Wpisuję czterocyfrowy kod otwierający drzwi, przeklinając przy tym pod nosem. Nienawidzę tego robić, ale w środku znajduje się zbyt wiele cennych informacji, bym mógł zostawić gabinet bez ochrony przez dłużej niż piętnaście minut.

– Jak mogło do tego, kurwa, dojść? – wybucham.

Leżące na biurku spinacze z łośkotem lądują na podłodze. Po chwili dołączają do nich porzucane dokumenty i chyba tylko cudem powstrzymuję się, by nie przewrócić fotela.

– Jeszcze raz – prosi mężczyzna, odgradzając nas od gwaru z korytarza. – Co ci powiedział?

– Że kompleksowa obsługa DavisVision Marketing spełnia wszystkie jego ponadprzeciętne wymagania. Rozumiesz – odwracam się w stronę przyjaciela – użył określenia „ponadprzeciętne”. Jakbym nie wiedział, że musiałbym wskrzesić samego Johna Lennona, by zyskać jego zainteresowanie.

Poczucie utraty kontroli zaczyna przejmować władzę nad moim ciałem. Nienawidzę okazywania słabości i użalania się nad sobą, bo żadna z tych rzeczy nie zapewni mi sukcesu. Jeśli więc chcę utrzymać pozycję wśród stu najbardziej wpływowych ludzi w całych Stanach, muszę natychmiast wymyślić kontrofensywę. I to taką, by z powrotem sprowadzić do firmy Milo Lozano – człowieka mającego szansę zostać jednym z największych inwestorów na amerykańskim rynku energii odnawialnej.

– Dobra, zastanówmy się na spokojnie. Ty z nim współpracowałeś, nie wiem... – Namyslałam się, zajmując miejsce za biurkiem. – Nie zauważyłeś czegoś podejrzanego w jego zachowaniu? Nie zwracał na coś przesadnej uwagi?

Crawford jest opiekunem klienta i najbardziej zaufanym człowiekiem w firmie. Niejednokrotnie ratował nas z podobnych opresji, a zmysłu obserwacji mógłby pozazdrościć mu sam diabeł. Nikt tak jak on nie jest w stanie przekonać do swojej racji drugiego człowieka.

– Nie wiem, stary, wszystko było w porządku. Omawialiśmy kolejne punkty przygotowanej strategii, trochę pokręcił nosem, ale ogólnie wydawał się zadowolony. Obiecałem uwzględnić jego sugestie, ale też nie możemy sobie pozwolić na to, by podporządkowywać się wizji kogoś, kto nie ma bladego pojęcia o tym, jak w ogóle funkcjonuje świat.

– I to mu powiedziałeś?

– Oczywiście, że nie – unosi się. – Po prostu, żeby zrealizować wszystko, co sobie wymyślił, najpierw musiałbym albo zostać drugim Joe Bidenem, albo zdobyć pieprzoną Nagrodę Nobla. Część z tych rzeczy w ogóle jeszcze nie istnieje i wątpię, by ktokolwiek opracował je w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat.

– Na przykład? – W momencie, gdy usta Emmetta powoli rozchylają się, by udzielić najnudniejszej odpowiedzi na świecie, zaczynam żałować, że w ogóle zadałem pytanie. – Zresztą nieważne. Podsumowując: jesteśmy w dupie.

– Delikatnie mówiąc.

– Pytanie, co z tym zrobimy. Lozano za cztery godziny wraca do Nowego Jorku i jeśli do tego czasu nie uda nam się go przekonać, to możemy pożegnać się ze zleceniem. Nolan nie tylko przejmie wpływowego klienta, ale wyśle też w świat informację, że borykamy się z jakimiś problemami, skoro ludzie rezygnują z naszych usług.

Panująca cisza wydaje się wymowniejsza niż wszystkie słowa razem wzięte. Metty, podobnie do mnie, nienawidzi naszego

starego przyjaciela. A w zasadzie darzy go czystą nienawiścią od momentu, gdy odkrył prawdziwą osobowość człowieka, za którego obaj wskoczylibyśmy w ogień.

– Zbieraj się, jedziemy – rzucam, przeczesując dłonią włosy. Przez ostatnie dwadzieścia minut robiłem to już tyle razy, że i tak nic nie pozostało z ułożonej rano fryzury.

– Dokąd?

– Na lotnisko. – Sprawdzam w telefonie najszybszą możliwą trasę, licząc, że w południe nie staniemy w żadnym korku. – Po drodze coś wymyślimy. On po prostu nie może wsiąść do samolotu.

Brunet wciąż siedzi w fotelu, po drugiej stronie blatu, przypatrując mi się uważnie i ignorując wcześniejsze polecenie. Czasem naprawdę nie cierpię tej naszej przyjaźni i jego wyluzowanej postawy.

– I jak niby mamy go zatrzymać? Przykuć się łańcuchami do pasa startowego?

– Jeśli to będzie konieczne, to tak. Rozważam też uprowadzenie pilota.

Mówię całkowicie poważnie.

– Łatwiej byłoby z pilotką.

Drzemiący w nim casanova nie potrzebuje zbyt wiele, by wyjść na światło dzienne. Kiedyś to się na nim zemści, ale do tej pory z powodzeniem zdobywa kobiece serca. A następnie je łamie.

– A jakby tak wysłać do niego Maisie? Może ona go jakoś przekona, skoro nas nie chce słuchać?

Tężeję na te słowa.

Maisie Evans. Kobieta, która od czterystu pięćdziesięciu dwóch dni nie potrafi opuścić mojej głowy. Budzę się rano i myślę o tym, czy już wstała. Jadę do pracy i zastanawiam się, kiedy ją zobaczę. Zasypiam i tępo wpatruję się w sufit, bo chcę usłyszeć, jak choć raz szepcze w moją stronę „dobranoc”, leżąc tuż obok w łóżku.

Mam obsesję na jej punkcie. I nadal nie wiem, co z tym zrobić. Bo prawda jest taka, że nie mogę dłużej trwać w zawieszeniu.

Wyobrażać sobie, że pewnego dnia zrozumie, co do niej czuję. Patrząc, jak nawiązuje relacje z ludźmi, którzy choć są godni jej uwagi, to nie są mną.

– Maisie? – upewniam się.

– Nikomu innemu bym nie zaufała. Ma te swoje najróżniejsze sztuczki, dzięki którym klienci do niej lgną. Jeszcze nikt nie powiedział na jej temat złego słowa i sam dobrze wiesz, że potrafi być przekonująca, gdy czegoś chce.

– Tak samo jak ty.

Nie jestem pewien, czy angażowanie jej w tę sprawę to dobry pomysł. Im mniej osób wie, że klienci odchodzą do konkurencji, tym lepiej. Nawet jeśli darzę Evans pełnym zaufaniem.

– Ale mnie nie udało się go zatrzymać. Tak samo jak i tobie. Możemy tam jechać i używać tych samych argumentów, które nie robią na Milo żadnego wrażenia, albo spróbować z kimś nowym, kogo jeszcze nie słuchał. Decyzja należy do ciebie.

Analizuję w głowie za i przeciw. Potencjalne zyski są większe niż straty, a tylko to się liczy w biznesie. Emmett ma rację. To może być nasza ostatnia deska ratunku i plułbym sobie w brodę, gdybym nie spróbował.

Przeszukuję rejestr ostatnich połączeń, zamierając z palcem nad numerem kobiety. Chcę do niej zadzwonić, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję. Rozmawiałem z nią wczoraj, na długo po tym, jak zakończyła pracę, i mogę się tylko domyślić, jak przeklinała mnie w myślach.

Decyduję się zatem na bezpieczniejsze rozwiązanie.

– Averie – rzucam do słuchawki interkomu. – Skontaktuj się z Maisie Evans. Przekaż, że sprawa jest pilna i czekamy na nią razem z Emmettem w moim gabinecie.

Czas, który mija do momentu, aż kobieta staje w drzwiach, wykorzystuję na rozmyślanie o tym, co jej powiem. Nigdy nie prosiłem o pomoc w tego typu sytuacjach, teraz jednak na szali są jednocześnie dobre imię firmy i moja męska duma, a wszyscy

wiemy, jak niebezpieczna jest to mieszkanka. I jakie szkody może wyrządzić, gdy dojdzie do erupcji.

– Tak, szefie? – Wślizguje się do gabinetu, zatrzymując tuż przy ścianie. Grymas, który dostrzegam na jej twarzy, wyraźnie mówi, że chciałaby się znaleźć jak najdalej ode mnie.

– Usiądź, proszę. – Fotel obok Emmetta pozostaje pusty. Jej zielone oczy zwężają się w szparki, gdy lustruje otoczenie. Z niezrozumiałych powodów robi to za każdym razem, gdy tu przebywa, choć doskonale zna to pomieszczenie.

W końcu zajmuję miejsce, a zapach wanilii dociera do moich nozdrzy, wysyłając do mózgu uspokajające sygnały. Nie wiem dlaczego, ale jej obecność kojarzy mi się z bezpieczeństwem i czymś miękkim, czego nie potrafię nazwać, ale za to dogłębnie odczuwam. Zupełnie jakby wytwarzała wokół siebie niewidzialną aurę, rzucającą urok na każdego, kto przebywa w jej towarzystwie.

Nie widzieliśmy się od wczoraj, o ile w ogóle minięcie się w korytarzu można nazwać spotkaniem, a i tak jestem w stanie dostrzec drobne zmiany w jej wyglądzie. Na przykład biżuterię z cyrkoniami zamieniła na pozłacane, owalne kolczyki, a usta pomalowała szminką w kolorze... czegoś ładnego. Bardzo ładnego, gwoli ścisłości.

Odchrząkuję, gdy pod wpływem mojego spojrzenia porusza się niespokojnie.

– Mam nadzieję, że nie ma pani zaplanowanych na dziś żadnych ważnych spotkań, bo niestety będę zmuszony poprosić o przesunięcie ich na najbliższy wolny termin.

– Chyba nie do końca rozumiem.

– Chciałbym prosić panią o pomoc w pewnej... delikatnej sprawie.

Z pomocą przyjaciela wykładamy jej wszystko, co najważniejsze. Rozwodzimy się na temat istotności współpracy z klientem tej rangi, nakreślamy jego obszar działania oraz w skrócie przedstawiamy zaproponowaną przez nas ofertę. Wszystko z pozoru wydaje się dopięte na ostatni guzik.

- I rozumiem, że ja mam go...
- Nakłonić do kontynuowania dalszej współpracy.
- Ale... jak?

Lekko kręci głową, wprawiając w ruch złotą biżuterię. Pojedyncze pasma długich włosów opadają jej teraz na skronie, choć znaczna część spoczywa na plecach. Mam ochotę wyciągnąć rękę do przodu i sprawdzić, czy są takie miękkie, na jakie wyglądają.

- Cóż. Tego nie wiemy.

Nie pozwalam, by ostatnie słowa w pełni do niej dotarły.

- To jak? – zaczynam. – Pomoże nam pani?



Piętnaście minut później zjeżdżamy do podziemi, gdzie znajduje się parking, by ruszyć stamtąd na lotnisko Chicago-O'Hare. Przez cały czas trwania podróży Evans dopytuje o kilka mało znaczących kwestii i nie mam pojęcia, dlaczego skupia się akurat na nich, ale jeśli układa w głowie jakikolwiek plan, nie będę go negocjować. Skoro nasze techniki zawiodły, może przynajmniej jej okaże się skuteczna.

Mam okazję sprawdzić swoje założenie niecałą godzinę później, gdy udaje nam się odnaleźć Lozano przy stanowisku odprawy. Razem z Emmettem zostajemy z tyłu, pozwalając, by Maisie załatwiła sprawę całkowicie po swoim.

Jej elegancki strój kontrastuje nie tylko z dresami pasażerów, ale przede wszystkim z ubiorem naszego, miewmy nadzieję, przyszłego klienta. Każdy, kto zobaczyłby prezesa EnergyRealm, z łatwością mógłby uznać go za hipisa rodem wyjętego z lat sześćdziesiątych i niewiele by się pomylił. Brakuje mu jedynie gitary i włosów po pas, ale już teraz ich długość wskazuje na to, że i na nie przyjdzie kolej.

Wyrzucam z głowy niepotrzebne myśli i skupiam się na tym, co najważniejsze. Mój wzrok mimowolnie ląduje na pośladkach

brunetki, opiętych czarnymi spodniami. Przetykam ślinę, gdy przenosi ciężar z jednej nogi na drugą, by po chwili niemalże niezauważalnie przesunąć opuszkami palców po swoim udzie. Czyżby się denerwowała?

Rozmawiają ze sobą od dziesięciu minut, a z każdym ruchem wskazówek zegara mam coraz większą ochotę na to, by do nich podejść. Szczególnie wtedy, gdy dostrzegam, jak hipisik zamiast patrzeć w oczy swojej rozmówczynie, wlepia pierdolony wzrok w jej dekolt.

Staram się nie wybuchnąć, cierpliwie czekając na pierwszy przełom. I faktycznie, dopiero gdy mija dwudziesta minuta, coś zaczyna się zmieniać.

Evans odwraca się, by namierzyć naszą dwójkę, ale jesteśmy zbyt dobrze ukryci. Zaczyna lekko panikować, dlatego unoszę nieznacznie dłoń, dając tym znać, gdzie powinna szukać.

Gdy się to udaje, łapię kobiece spojrzenie, delektując się faktem, że patrzy teraz wyłącznie na mnie. Jej ramiona opadają, jakby zrzuciła z siebie niewielki ciężar, a zmarszczone czoło się wygładza. Posyła w naszą stronę uniesiony kciuk i promienny uśmiech, a ten drugi trafia nie tylko do moich oczu, ale znacznie, znacznie niżej.

Chryste...

ROZDZIAŁ 2



MAISIE

Zauważać ulotne niuanse

Wychodzę z herbaciarni, ściskając w ręce kubek z parującym napojem. Mieszanka zielonej herbaty, skórki pomarańczy, imbiru i bazylii to mój jedyny sposób na to, by przeżyć dzień. Co prawda lokal Tea Deal znajduje się dziesięć minut pieszo od siedziby agencji, przez co najprawdopodobniej spóźnię się do pracy, ale w ciągu najbliższych ośmiu godzin nie znajdę czasu, by tu zajrzeć.

Ruszam w kierunku firmy, delektując się nie tylko herbatą, ale także względnym spokojem. O ile w ogóle można o nim mówić w samym centrum największej biznesowej dzielnicy Chicago. Wszelkie odgłosy miasta stanowią jednak przyjemną odmianę po poranku z buntującą się pięciolatką. Płacz minutę po przebudzeniu, trzymanie się kurczowo moich ramion i wylanie na siebie całej miski mleka to tylko niewielka część tego, z czym musiałam się zmierzyć.

A mimo to nie mogę jej za nic winić. Nelly z reguły jest uśmiechniętą dziewczynką, alergicznie reagującą wyłącznie na myśl o pójściu do przedszkola. Jako jedyna w grupie wychowywana jest

tylko przez jednego rodzica i nie ma żadnego kontaktu ze swoim tatą. Inne dzieci, nawet jeśli pochodzą z niepełnych rodzin, utrzymują dobre relacje z obojgiem rodziców – są regularnie odbierane przez jednego bądź drugiego, przyprowadzają ich na swoje występy i letnie pikniki.

Mój były mąż ma jednak sądowy zakaz zbliżania się zarówno do mnie, jak i do naszej córki. Udało się go wywalczyć po wielomiesięcznej batalii. Obawiałam się bowiem, że mógłby próbować szukać nas po tym, jak spakowałyśmy się w środku nocy i uciekłyśmy do innego miasta.

Ostatnie lata małżeństwa z Deaconem najlepiej porównać do najgorszego koszmaru, z którego zbyt długo nie potrafiłam się obudzić. Dobre życie, które tak pielęgnowaliśmy, okazało się iluzją. Tak samo jak wiara w to, że mogę nie tylko pomóc mu uwolnić się od hazardu, ale też sprowadzić go na właściwą ścieżkę tuż po tym, jak z niej zbieczył.

Zdecydowanie zbyt wiele mu wybaczałam, ale nie mogłam pozwolić na to, by jego agresja dosięgnęła również naszego dziecka. Ten jeden raz, gdy nie udało mi się ochronić córki, okazał się najgorszym dniem mojego życia. Tuląc do piersi zapłakaną Nelly, postanowiłam, że zrobię wszystko, by zapewnić jej najlepsze życie, na jakie zasługuje. I to za wszelką cenę.

Wystraszona, podskakuję, gdy przejeżdżający przede mną samochód głośno trąbi, i robię krok w tył, rozglądając się dookoła. Czerwone światło, którego nie zauważyłam, przyprawia mnie o szybsze bicie serca.

Uspokajam się, czekając, aż będę mogła ruszyć do przodu, po czym przyspieszam. Z racji tego, że w firmie istnieje elektroniczny system monitorowania wejść i wyjść pracowników, powinnam za niecałe dziesięć minut znaleźć się w holu z przepustką w ręce.

Całe szczęście odbijam ją na bramce równo o dziewiątej i gdy już pozwalam sobie na wzięcie oddechu, dostrzegam, jak do windy wchodzi Connor.

Cholera.

Mam nadzieję, że mnie nie zauważył, bo jak idiotka zatrzymuję się na środku przestronnego foyer. Udaję, że grzebię w torbie w poszukiwaniu czegoś niezwykle ważnego, byle tylko nie musieć spędzić z nim kilkudziesięciu sekund sam na sam, bo jak na złość wszyscy inni weszli do windy obok.

– Jedzie pani?

Unoszę wzrok, dostrzegając, jak wysoki brunet przytrzymuje ręką drzwi, i zmuszam się, by wejść do środka.

Czy tu zawsze było tak mało miejsca?

– Dzień dobry – mówię z przyklejonym uśmiechem.

– Dzień dobry.

Nie wymieniamy więcej słów, ale dostrzegam w lustrze, jak oczy mężczyzny lustrują moją sylwetkę. Na dłużej zatrzymują się na kubku z naparem, niemalże wpędzając mnie w poczucie winy z powodu porannej wizyty w ulubionej herbaciarni.

– Mamy aż tak fatalną kawę?

– Nie pijam kawy. A to – delikatnie potrząsam kubeczkim – herbata. Lepiej na mnie działa.

Potakuje, jakby przyjął to do wiadomości.

– Niech zgadnę: zielona?

– Czyżbym była aż tak przewidywalna?

– Wręcz przeciwnie. Nieustannie mnie pani czymś zaskakuje – odpowiada tajemniczo, wprawiając mnie tym samym w zakłopotanie. – Proszę też pamiętać, że zawsze można zasygnalizować, że nie odpowiada pani wyposażenie zagwarantowane przez firmę.

– Mam zgłosić, że nie smakuje mi czarna herbata w kuchni? – Chyba sobie żartuje. Wyszłabym na wariatkę.

– Jeśli to wpływa na efektywność pani pracy, to tak, jak najbardziej.

Wpatruję się w niego, nie wiedząc, jak powinnam zareagować. Na całe szczęście cyferki na wyświetlaczu szybko wskazują

nasze piętro – ostatnie w wieżowcu, a metalowe drzwi rozsuwają się, uwalniając od konieczności prowadzenia dalszej dyskusji.

Czekam, aż mężczyzna pierwszy opuści windę, ale zamiast tego unosi rękę, wskazując drogę. Stawiam krok, kiwając w podziękowaniu głową i kieruję się w stronę odpowiedniego skrzydła.

– Do zobaczenia – słyszę, nim zdążę skrócić w korytarz. Odwracam się, marszcząc brwi, bo nie do końca rozumiem, o co chodzi. – Na zebraniu – dodaje. Dostrzegam w jego oczach jakiś małe błysk, który niknie równie szybko, jak się pojawia.

Och, no tak, cotygodniowe zebranie zespołów, na którym będziemy omawiać postępy i problemy we wszystkich prowadzonych przez nas projektach. Jako account manager, potocznie nazywany opiekunem klienta, odpowiadam za prawidłowy przebieg zaplanowanych przez nas działań, koordynację prac poszczególnych działów i relację między klientami a firmą.

Czasem chciałabym się z kimś zamienić, by choć raz w miesiącu nie musieć tam iść i tłumaczyć się z choćby najmniejszych potknięć, ale dopóki interesują mnie tak prozaiczne sprawy, jak kupowanie chleba na śniadanie, nie mogę lekką ręką zrezygnować z tej pracy.

Uśmiecham się więc łagodnie, próbując wykrzesać choć odrobinę entuzjazmu.

Daremnie.

– Oczywiście, do zobaczenia.

A potem znikam za rogiem i nie odwracam się ani na sekundę. Nawet jeśli do końca wyczuwam na sobie czyjeś spojrzenie.



Jasna przestrzeń jest chyba jedynym pozytywem dzisiejszego poranka. Uwielbiam to, jak pojedyncze promyki słońca rozświetlają szare ściany i rozpraszają się po całej powierzchni szklanego stołu.

Wszystko aż kipi nowoczesnością i luksusem, na tle którego wyróżnia się stojąca w rogu tradycyjna tablica z kilkoma kolorowymi markerami. Jako jedyna wolę pracować na niej niż na interaktywnym monitorze zawieszonym na ścianie, dlatego za każdym razem, gdy tu wchodzę, cieszę się, że nikt jeszcze jej nie wyrzucił.

Miejsca przy prostokątnym stole powoli się zapełniają i wreszcie dostrzegam, jak Axel przekracza próg pomieszczenia. Specjalnie trzymałam dla niego fotel, by mógł usiąść po mojej prawej stronie. Wita się ze wszystkimi, szeroko uśmiechając do siedzącej obok Scarlett, a następnie nachyla nade mną, muskając szybko wargami mój policzek.

– Jak weekend? – rzuca, zajmując miejsce.

– Dobrze, potrzebowałyśmy tych dwóch dni z dala od miasta. Nelly tradycyjnie nie chciała wyjeżdżać od dziadków, ale w końcu dała się przekupić.

– Czym?

– Obiecałam, że za tydzień wrócimy. – Wzruszam ramionami, na co Reyes się śmieje. Doskonale wie, że umiejętność odprawiania czegokolwiek córce zdecydowanie u mnie szwankuje.

– No tak, kto by nie tęsknił za ziemniaczaną zapiekanką pani Hazel. – Ma rację, popisowe danie mojej mamy niejednokrotnie śni mi się po nocach. Nawet teraz czuję smak rozplływających się w ustach ziemniaków. – A jak ona się czuje?

– Ostatnio narzekała na ból w klatce piersiowej, ale ogólnie dobrze. Tata ją przekonał, aby umówiła się na wizytę u lekarza, żeby skontrolować, co i jak.

Mama trzy lata temu pokonała chorobę nowotworową. Na szczęście dzięki samobadaniu szybko wykryła guzki w piersi i udało jej się uniknąć najgorszego, ale i tak za każdym razem, gdy jakkolwiek ból w organizmie utrzymuje się u niej dłużej niż dwa dni, ojciec zaczyna panikować. W tej kwestii są całkowitymi przeciwieństwami.

– Pozdrów ją ode mnie. Albo sam do niej zadzwonię jakoś w tygodniu.

– Pewnie, ucieszy się.

Wszelkie rozmowy nagle cichną, gdy do sali wchodzi mężczyzna, na którego czekaliśmy. Jak zawsze założył dopasowany czarny garnitur z białą koszulą, w której rozpiął dwa górne guziki. Nigdy na poniedziałkowych spotkaniach nie pokazuje się w krawacie, podkreślając, że niektóre nasze pomysły wystarczająco już go duszą, by jeszcze miał się owijać kawałkiem eleganckiej szmatki. Tak, mężczyzna uchodzący za jednego z najważniejszych i najlepszych marketerów w kraju używa właśnie takich określeń. I, co najgorsze, brzmią one w jego ustach naprawdę dobrze.

Ciemne oczy przesuwają się po zgromadzonych wokół stołu pracownikach, ale żaden kącik jego ust nie drgnie choćby na milimetr. Otoczone drobnym zarostem wyglądają, jakby zostały wykute w kamieniu, co kontrastuje z przydługimi, zaczesanymi do góry ciemnymi włosami.

Jest przystojny, i to bardzo, ale nawet najpiękniejsza twarz nie sprawi, że zapomnę o wszystkich sytuacjach, w których szczerze go nie znosiłam. Nie jest to jednak stałe uczucie – raz mam ochotę go zamordować, a innym zaśmiewam się, gdy celnie coś zripostuje.

– Dzień dobry, mam nadzieję, że wypoczęliście po weekendzie – wita się z nami, zajmując miejsce u szczytu stołu. Wokół rozchodzą się pojedyncze pomruki uznane za potwierdzenie. – Dobrze, porządek naszego spotkania macie wyświetlony na ekranie. Jeśli nikt nie ma nic przeciwko, to przejdziemy od razu do punktu pierwszego. Maisie, proszę bardzo – zwraca się w moją stronę, a ja znów mam wrażenie, że widzę ten sam maleńki błysk. Mówiłam, że tutejsze promienie słońca robią niesamowitą robotę.

Przeglądałam wstępne notatki przygotowane w piątek i zabieram głos.

– Jutro podpiszemy wstępną umowę z Milo Lozano, prezesem jednej z prężnie działających firm w obszarze energii odnawialnej. Z tego, co udało mi się ustalić podczas naszej rozmowy, jasno wynika, że oczekuje od nas działań prowadzonych w pełni w myśl ekologicznego podejścia do biznesu – zawieszam głos, by każdy miał szansę skupić na mnie uwagę. – Nie chodzi tylko o strategię i pomysły, które mu przedstawimy, ale o całokształt. Spodziewa się, że na każdym etapie naszej pracy uwzględnimy takie aspekty jak etyka środowiskowa czy też ekologiczna odpowiedzialność społeczna. Mamy być wzorem do naśladowania, udowadniając, że naprawdę bierzemy sobie do serca problemy współczesnego świata.

Wiem, jak to brzmi, ale właśnie dzięki zagwarantowaniu, że całe Grace Media działa w sposób przyjazny środowisku, udało mi się przekonać klienta do podtrzymania współpracy. Już podczas drogi na lotnisko zrozumiałam, czego tak naprawdę od nas oczekuje. Dla takich ludzi nie liczy się tylko cel, ale także środki, którymi go osiągnięto, i najróżniejsze wartości, o których często zapominamy. Innymi słowy: jeśli chcesz reprezentować firmę ściśle związaną z ekologią, to sam nie możesz działać przeciwko niej.

– Czy macie jakieś pytania? – zagajam, dostrzegając, że Thomas z działu finansowego nachyla się w moją stronę.

– Czyli, mam rozumieć, że jak spotkamy go na korytarzu, to powinniśmy opowiadać o tym, jak po zmroku pracujemy przy świeczkach, a do pracy jeździmy konno?

Kilka osób parska śmiechem na tę uwagę, ale ona nie robi na mnie żadnego wrażenia.

– Nie. – Głośnie uderzenie ręki prezesa o stół roznosi się echem po całej sali. – Wtedy powinniście milczeć, by nasz klient nie zorientował się, jakie błazny tutaj pracują. Wydawało mi się, że zatrudniam samych profesjonalistów, a nie bandę przedszkolaków, ale najwyraźniej nadszedł czas na przejrzenie akt niektórych

z was i dokonanie korekty w rubryce z wiekiem. Co mam tam wpisać – zwraca się teraz bezpośrednio do Thomasa – cztery lata? Czy to wciąż za dużo?

Nikomu nie jest już do śmiechu.

– Przepraszam, to już się więcej nie powtórzy – deklaruje mężczyzna.

Przez kilka sekund panuje w sali cisza, aż w końcu, niczym piorun, przelatują przez nią słowa Grace’a:

– Dobrze, dziękuję, Maisie, za to krótkie wprowadzenie. W przyszłym tygodniu oczekuję więcej konkretów.

– Oczywiście.

Oddaje głos pozostałym pracownikom, a ja wewnętrznie podskakuję na myśl o tym, że nie odebrał mi klienta. Do tej pory pracowałam z nieco mniejszymi budżetami, dlatego mam zamiar w pełni wykorzystać tę szansę i tym samym wejść na znacznie wyższy poziom w tej firmie.

– Gratulacje, Mae. – Axel ściska moją dłoń i posyła szeroki uśmiech. – Zasłużyłaś na to.

– Tak myślisz?

– Pewnie, kto jak nie ty? Jesteś jedna na milion.

W tej samej chwili rysy twarzy szefa wykrzywiają się w nieprzyjemnym grymasie. Mruży oczy, unosi brwi i zaciska wargi w cienką linię, zapewne po to, by się głośno nie roześmiać. Wszystko w nim krzyczy, że taki komplement jest co najmniej na wyrost.

Szybko odwracam głowę, nie dając po sobie poznać, jak bardzo zabolą mnie ta mimika pełna niechęci. Ujrzenie na własne oczy, jak prezes firmy, w której pracuję, nie dowierza, że ktoś mógłby mnie pochwalić, po prostu boli.

Zbyt dobrze jednak wiem, co to walka o samą siebie. Niejednokrotnie traciłam panowanie nad rzeczywistością tylko dlatego, że zaczynałam wierzyć we wszystkie nieprzychylne komentarze, a ciągle wątpliwości stały się moją nową codziennością.

Pozwoliłam na to, by okradziono mnie nie tylko z pewności siebie, ale także z tego, kim byłam.

Najwyraźniej nadszedł czas, bym sobie o tym znowu przypomniała. I udowodniła komu trzeba, ile tak naprawdę jestem warta. Właśnie dlatego w piątkowe popołudnie zostaję w pracy nieco dłużej, by dokończyć projekt. Na całe szczęście Axel mógł dziś ode mnie przejąć Nelly i poszli razem do kina.

Zegar wskazuje dokładnie osiemnastą pięć, gdy w drzwiach do mojego gabinetu staje Grace. W przeciwieństwie do mnie nie widać po nim choćby minimalnej oznaki zmęczenia.

– Tak myślałem, że jeszcze tu panią zastanę.

– Mam nadzieję, że to nie problem? – Co jakiś czas zdarzają nam się nadgodziny, ale być może siedzenie samej w biurze w piątkowe popołudnie nie jest zbyt mile widziane przez szefostwo.

– Ochrona i tak jest całodobowa, także proszę się nie krępować.

Opięta koszula podkreśla jego umięśnioną klatkę piersiową i dopiero teraz rejestruję, że nie ma na sobie marynarki.

– Tak sobie pomyślałem – zaczyna, stawiając krok naprzód. – Averie już wyszła, a ja napiłbym się kawy, więc...

– Mam panu zrobić? – wrywa mi się niespodziewanie, nim w ogóle zdążę zdusić w zarodku chęć wypowiedzenia pytania na głos.

Jasna cholera.

– Co? Nie, skąd w ogóle ten pomysł?

Opiera dłoń na krześle stojącym po drugiej stronie biurka, a ja mimowolnie rozglądam się dookoła, skanując otoczenie i prostując sylwetkę.

– Chciałem zaproponować, żeby napiła się pani razem ze mną. To znaczy pani oczywiście herbaty.

Zamieram z jedną dłonią ułożoną na klawiaturze laptopa, a drugą zaciskającą się na kolanie. To jedna z najbardziej niespotykanych rzeczy, które ostatnio mi się przytrafiły.

– Chce pan przedyskutować kwestie związane z jakimś projektem?

– Nie. – Czy ten pojedynczy, maleńki dołeczek, który właśnie drga, zawsze znajdował się na lewym policzku? – Widziałem, że w naszej kuchni pojawił się jakiś nowy smak, komuś najwyraźniej tamten również przeszkadzał.

– Naprawdę myśli pan, że ktoś tak bardzo nienawidził czarnej herbaty, że napisał skargę? – Nie wierzę w ani jedno jego słowo.

– Zdziwiłaby się pani, jakie ludzie ukrywają sekrety. To jak? Skusi się pani?

Przez chwilę to rozważam, próbując wyrzucić z głowy abstrakcyjne wyobrażenie losowego pracownika domagającego się zmiany smaku napoju i w końcu wskazuję ręką na rozłożone przede mną dokumenty.

– Przepraszam, ale naprawdę mam dużo pracy.

Odmowa wyraźnie go zaskakuje. Szybko stara się zamaskować zmieszanie, ale i tak udaje mi się je dostrzec w jego oczach i na ustach. Najwyraźniej nie przywykł do tego, by ktoś go odrzucał.

– Oczywiście. W takim razie już nie przeszkadzam. – Odwraca się w kierunku drzwi, zatrzymując tuż przy nich. – Proszę nie siedzieć zbyt długo. – To jedyne, co mówi, nim wychodzi i zostawia mnie całkowicie zdezorientowaną.



Wchodząc do domu o dwudziestej, marzyłam tylko o tym, by położyć Nelly do łóżka i sama zakopać się pod pościelą. Zamiast tego przez godzinę siedziałam na podłodze, pozwalając córce urządzić w naszym maleńkim mieszkaniu salon fryzjerski z prawdziwego zdarzenia.

Była tym tak pochłonięta, że dopiero teraz, gdy dochodzi dwudziesta druga, całuję ją na dobranoc i opuszczam pokój dziecięcy. Zasiadam na kanapie w salonie, nie mając siły, by gdziekolwiek

się ruszyć, nie mówiąc już o wzięciu chociażby szybkiego prysz-nica. *Pięć minut*, powtarzam w myślach. Tyle wystarczy, żebym nabrała sił.

Wszechświat jednak ma inne plany, kpi sobie ze mnie za spra-wą wibrującej komórki.

– Dobry wieczór, szefie – chrypię, próbując nie wrzeszczeć na całe gardło.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale chciałem jedynie poin-formować panią, że prezentacja dla BioWellness zostaje przesunię-ta o tydzień. Ma więc pani kilka dni na dopracowanie szczegółów.

To. Mógł. Być. Jeden. SMS.

Tylko tyle, jeden SMS lub mail, który otworzyłabym w ponie-działkowy poranek.

– Dziękuję za informację.

– To tyle, dobra... A nie, nie – wtrąca szybko. – Przepraszam, jeszcze jedno. Dziękuję za wysłanie wstępnej analizy EnergyRe-alm. Udało mi się przejrzeć ją jeszcze w biurze. – Tak późna roz-mowa na temat nadesłanych dokumentów nie może oznaczać niczego dobrego. Czekam, aż wytknie mi coś, czego nikt w moim zespole się nie dopatrzył lub, co gorsza, jakiś kompletnie podsta-wowy błąd. Zamiast tego słyszę jednak: – Dobra robota.

Niespodziewana pochwała niesie za sobą wybuch endorfin. Przyjemne ciepło oblewa całe moje ciało, a ja, żeby tylko nie wy-dać żadnego dźwięku, przyciskam dłoń do ust. Zamknięte do tej pory oczy natychmiast się otwierają, jakby na potwierdzenie, że to nie jest żaden sen.

– Bardzo dziękuję. – Tylko na tyle mnie stać.

– Proszę – odpowiada, zwiastując dalszą ciszę. Żadne z nas się nie rozłącza. Wciąż jestem w zbyt dużym szoku, a on zapew-ne sprawdza, czy zemdleję ze szczęścia. Szczerze mówiąc, je-stem tego bliska.

Gdy trwamy tak, o kilka sekund za długo, w końcu postanawiam przerwać nasze specyficzne zawieszenie.

MIŁOŚĆ Z KAŻDEJ STRONY



-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca